

Świat od spodu – 4

14 listopada 2018

Życie to taki rodzaj literatury, że nie da się zaplanować ani przewidzieć, co będzie w następnym odcinku. „Świat od spodu” musiał skończyć się więc niespodziewanie. Ale koniec czegoś bywa równocześnie początkiem czegoś innego. Dlatego to „Postscriptum” do „Świata od spodu” zawiera również i taką zapowiedź.



Kilka tygodni przerwy w pisaniu spowodowane było dynamiką i zmianami jakie nastąpiły w moim życiu. Ale po kolei.

Wybrałem się do Francji. Po beznadziejnych wędrówkach poszukiwania pracy w Anglii, wydało mi się to niezłą odtrutką na przygnębiającą, brytyjską szarżyznę. I nie chodzi tu o pogodę, bo była wyjątkowo piękna jak na wyspiarską jesień. Typowo „angielska pogoda” zagościła jednak w moim sercu. Sytuacja wydawała się beznadziejna.

Trudno więc opisać radość, jaką poczułem, gdy po wylądowaniu w Lyon podszedłem do punktu kontroli i usłyszałem dźwięczne „bążur”. To francuskie „dzień dobry” zabrzmiało jak najpiękniejsza melodia. Humor natychmiast się poprawił i wróciła radość życia.

Ostatnie tygodnie w Anglii, nie były dla mnie łaskawe, liczyłem że chwilowa zmiana pozwoli złapać oddech i doda nowych sił. Chciałem spojrzeć z dystansu i racjonalnie podejść do narosłych problemów, znaleźć rozwiązanie i oczywiście odreagować stres.

W ukazujących się cyklicznie w „Dzienniku Trybuna” felietonach, opisywałem swoje wrażenia na angielskiej ziemi, quasi niewolniczy system pracy, łamanie praw pracowniczych, zmuszanie ludzi do pracy ponad siły i ignorowanie przepisów bezpieczeństwa na wyraźne polecenie kierownictwa, oraz wciąż zwiększonych do granicy absurdu normach. Stało się już normą, że na załadowanie tony wody mineralnej pracownik ma jedynie osiem minut. Kierownictwo uznało, że moje pisanie może zaszkodzić firmie i w obawie, by stosowane tam nieludzkie praktyki nie wyszły na światło dzienne, postanowiono mnie zwolnić. Straciłem pracę, a zatrudniająca mnie agencja okazała się na tyle nierzetelna, że nie rozliczyła się z tygodniowej wypłaty. Agencja Staffline – uważajcie na nią, jeśli kiedykolwiek przyjdzie Wam do głowy wyjechać do pracy w UK. Przy życiu na styk brak jednej wypłaty jest katastrofą. Od tego momentu zaczęły się moje kłopoty z regularnym opłacaniem czynszu. Zostałem z niczym w zupełnie obcym kraju. Jedyne co mogłem zrobić, to poszukać jakiegokolwiek pracy. Zdzierałem więc buty łażąc od miasta do miasta z nadzieją, że wreszcie coś znajdę.

Publiczna komunikacja w Anglii jest tak droga, że zwyczajnie nie było mnie już stać na kupno biletów. Dlatego jedyną opcją były własne nogi. Obszedłem chyba wszystkie bary i fastfoody w okolicy trzydziestu kilometrów. Bezskutecznie. Szukałem ogłoszeń, pytałem, wszędzie zadając pytanie: „I am looking for a job, you need an employee?” Odsyłano mnie zazwyczaj z kwitkiem. Jeśli ktoś chciał być uprzejmy, to notował mój numer telefonu obiecując, że się odezwie gdy tylko będzie miał dla mnie pracę. Każdego dnia sytuacja finansowa była coraz bardziej beznadziejna.

Za pośrednictwem jednej z agencji udało się wreszcie znaleźć pracę w zakładzie stolarskim. Pisałem o tym w poprzednim odcinku „Świata od spodu”. Praca wydawała się idealna. Zarobki znacznie lepsze od tych, które miałem w poprzedniej pracy, miejsce też dużo przyjemniejsze, ale problem polegał na tym, że poszukiwali wykwalifikowanych specjalistów – stolarzy meblowych. Moje doświadczenie pracy w różnego rodzaju tartakach i stolarniach było niewystarczające. Potrafię przerobić na deski ścięte drzewo, zrobić rustykalne półki, sztachety do płotu, a nawet zbudować dom z bali.

Skoro jednak już przyjechałem, to właściciel zgodził się bym przepracował jeden, dwunastogodzinny shift. Chcąc nie chcąc, ponownie ruszyłem szukać zarobku. Łudziłem się nadzieją, że w końcu coś znajdę, trafię na bar, w którym potrzebują ludzi na zmywak. Byłem gotów podjąć pracę nawet na czarno i za stawkę znacznie niższą, niż minimalne 7.83 funta na godzinę. Nie mając nic, zatrudniłbym się nawet i za cztery czy pięć funtów.

Światełko nadziei pojawiło się, gdy zadzwonił Marek i zaprosił mnie do Francji. Nie było mnie jednak stać na bilet, o hotelu nie wspominając. Gdy jednak powiedział, że pokryje wszystkie koszty, kupi bilety, a zamieszkać mogę u niego, aż podskoczyłem z radości. Marek jest typowym przedstawicielem tzw. starej emigracji. W 1984 roku osiedlił się we Francji, a po kilku latach spędzonych w Paryżu przeprowadził się do Lyonu.

Umówiliśmy się, że spędzę tam pięć dni. Od czwartku, do poniedziałku. Zapewnił żebym się niczym nie martwił, że kupi mi bilet w obie strony i zapewni utrzymanie. Zwiedzimy kawałek Francji, a wieczory spędzimy na dyskusjach o polityce.

Lot trwał niecałe dwie godziny. Cieszyłem się z tej odmiany. Angielski sen przerodził się w brytyjski koszmar, a wizja kilku dni we Francji wydawała się bajecznym rajem. Po wylądowaniu niemalże biegłem w kierunku wyjścia z terminala.

Powody były dwa, po dwugodzinnym locie cholernie chciało mi się palić, no i oczywiście chciałem jak najszybciej spotkać się z kolegą. Minęło kilkanaście minut zanim udało mi się dotrzeć do hali głównej. Lotnisko w Lyon ma chyba najdłuższy w Europie tunel łączący płytę lotniska z halą przylotów.

Czwartek i część piątku spędziliśmy na zwiedzaniu Lyon. Natomiast na weekend pojechaliśmy do jego domku letniskowego 120 km od Lyon, w przepięknej, górskiej okolicy. W niedzielę wieczorem zapytał, czy nie zechciałbym mu pomóc przy drobnych pracach w tym górskim domku. Bardzo chętnie się zgodziłem, wprowadzie bilet powrotny miałem w kieszeni, ale za skarby nie chciałem wracać do Anglii. I tak nie miałem tam pracy. Praca wydawała się idealna, chodziło o pomalowanie okien, koszenie trawy i ogólny porządek na posesji. Poza tym, zapowiedział żebym się nie śpieszył, chodził po górach, zwiedzał okolice, a pracę wykonywał swoim tempem. Kupił mi zaopatrzenie, łącznie z papierosami, na cały tydzień, umówiliśmy się, że zostanę na tym górskim pustkowiu, a on przyjedzie do mnie w piątek pustkowiu. Miałem mieszkanie, zaopatrzenie i do tego całkiem niezłe pieniądze. Po tak długim i beznadziejnym poszukiwaniu pracy, które niejednokrotnie wiązało się z upokorzeniem, nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście. Wynagrodzenie jakie zaproponował wystarczyłoby na uregulowanie zaległości za pokój w Anglii. Wybrnąłbym tym samym z długów.

Praca zapowiadała się na długo. Nie był to jedyny dom, który posiadał, a przy każdym było coś do zrobienia. W poniedziałek, zaraz po jego wyjeździe, z werwą zabrałem się do pracy. To ostatnia rzecz jaką pamiętam. Pozostałe dni zapadły gdzieś w niepamięci. Gdy się ocknąłem nade mną stał Marek wraz ze swoją żoną Ani. Leżałem kompletnie pijany. Po podłodze walały się puste kartony po winie, butelki i niedopałki. Wypiłem cały alkohol jaki był w domku. Sytuację pogorszyło jeszcze to, że przyjechał ze swoją żoną. Nie poznaliśmy się wcześniej, bo gdy przyleciałem do Lyon, ona była w Paryżu. Chciał więc teraz przedstawić jej swojego przyjaciela, pisarza z Polski.

Byłem przekonany, że za chwilę wyrzucą mnie z tego domku i nawet usiłowałem podnieść się z łóżka, by zacząć się pakować. Na początku, gdy tylko przyleciałem, Marek powiedział mi, że nie da się wkurzyć Francuza w polski sposób. Przekonałem się, że miał rację. Troskliwie zajęli się mną, póki nie doszedłem do siebie. Ponieważ jednak zawaliłem na całej linii, postanowiłem wrócić do Polski i ponownie podjąć terapię.

Kilka dni po przyjeździe znalazłem pracę. Zatrudniłem się jako sprzedawca. Pracuję już od tygodnia i od tygodnia zbieram materiały, by opisać Wam jak wygląda klient z punktu widzenia sprzedawcy. Wydaje się to dobrym pomysłem nowego cyklu pod tytułem: „Z drugiej strony lady”. Wielokrotnie byłem świadkiem, poniżania sprzedawców i sprzedawczyń przez chamskich i sfrustrowanych klientów. Ludzi, którzy rozładowują swoje problemy zawodowe i rodzinne pastwiąc się nad bezbronnymi ludźmi. Postanowiłem więc wcielić się w rolę tych, którzy muszą pokornie znosić frustracje klientów. Bo sprzedawca jest najlepszym obiektem wyładowania, odreagowania problemów w pracy czy w domu. Zawsze lepiej wyżyć się na niewinnym i bezbronnym sprzedawcy, niż powiedzieć szefowi, że jest chujem. Pracownik sklepu pokornie zniesie atak klienta. Z prostej przyczyny – w kapitalizmie klient ma zawsze rację, a przy najmniejszym sprzeciwie i próbie obrony, pracodawca wywali go na zbity łeb. Od kilku dni jest gdzieś w Polsce sklep, w którym zatrudnił się ktoś między innymi po to, by takie kreatury opisywać. Zrobię to z największą przyjemnością. A może również trzasnę fotę z partyzanta?

Z Markiem wciąż utrzymujemy przyjacielskie relacje i nadal zamierzamy się spotykać. Kto wie, może pojedę dokończyć przerwana picie pracę.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info